Nr. 11 (1625) Warszawa, 16 marca 1912 r. Rok XXXII.

PRAWDA

Tygodnik polityczny, społeczny i literacki.

Redakcja i Administracja: WŁODZIMIERSKA 5 Telefon 73-80

POLITYKA i ŻYCIE SPOŁECZNE.

Spadkobiercy idei Staszyca.

„Z [illegible] ka-mieni powstaną wasi obrońcy".
St. Staszyc.

Pod sztandarem postępu skupiają się w Polsce coraz liczniejsze zastępy tych, w których reakcja zawsze i wszędzie upatruje swą najtrwalszą i najbezpieczniejszą ostoję — to jest chłopów.

W ciężkiej, zbitej, nieprzeniklwej masie chłopskiej tkwią zwykle drzewce klerykalnych chorągwi a padają tam tylko, gdzie zbudzona ze swego wiekowego bezwładu, ruszać się zaczyna i dźwigać do samoistnego życia. Jeżeli w krajach, w których już od lat kilkudziesięciu istnieje powszechne głosowanie, — stronnictwa reakcyjne cieszą się napozór niewzruszoną przewagą, jak w Niemczech do ostatniej chwili, zawdzięczają to jedynie chłopom.

Jeżeli w innych prądy postępowe szerokim i głębokim toczą się łożyskiem i nikt ich już załamować nie może — jak w krajach skandynawskich lub Czechach — sprawił to postęp chłopski.

Rozumiemy też, dlaczego nasza inteligencja postępowa z miłością i zachwytem patrzy na rozrost Kółek Staszycowskich, na wzmagające się liczebnie z roku na rok zastępy piętnowanych i wyklinanych Zaraniarzy. W nich jedyna jej otucha i nadzieja. Dzięki im, bojownicy postępu w Polsce nie czują się już dziś osamotnieni i obezwładnieni tą samotnością, tak dokuczliwym wyobcowaniem ze społeczeństwa, dla którego żyją, pracują.

Chłopi są liczbą i są siłą nawet w krajach o wiele wybitniej przemysłowym charakterze, niż nasz, a cóż dopiero w Polsce, gdzie w najbardziej przemysłowej dzielnicy jeszcze 65% ludności stanowi lud rolniczy.

Oczywiście, wśród miljonowej armji chłopi postępowi są dotąd tylko jednym pułkiem — ale w tym pułku skupia się sam wybór dzielnych sił, w nim jest i zapał, i wiara, i wytrwałość niezmożona przeciwnościami i niezatracalny pierwiastek rozwoju. Rok ubiegły sypał gradem ciężkich pocisków na tę przednią straż chłopskiego postępu; klątwy, listy pasterskie, gromy ze wszystkich ambon, zatrute strzały klerykalnych pism i pisemek, niczego im nie oszczędzono. I oto zjechali się w zwiększonej liczbie, obradowali śmiało, spokojnie, z powagą i godnością, a co zdumiewające, co szczególniej podziwu i naśladowania warte — walka podmeciła ich, lecz nie rozjątrzyła. Nic nie zdoła ich wytrącić z równowagi. Nie słyszeliśmy napaści na nikogo; żadnych złośliwych wycieczek, żadnych odruchów zemsty ani wybuchów jadu. Wprost przeciwnie raczej — uderzała jakaś szlachetna pobłażliwość dla przeciwników, jakby płynąca ze zrozumienia, że walka jest naturalnym wynikiem dążenia naprzód, że zwycięztwo ostateczne zawsze zapewnione tym, co ku przyszłości idą, wreszcie, że gniew nie przystoi mocnym — a zaślepiona nienawiść jest symptomatem bezsilności.

Cały przebieg zjazdu Kółek Staszycowskich uderzał całkowitym pogrążeniem się w pracy pozytywnej, w pracy twórczej świadomych budowniczych lepszego jutra.

Poruszono mnóstwo spraw doniosłych, żywotnych, palących. Trzydniowe obrady nie mogły wyczerpać całego obfitego programu, okazało się bowiem, że wszystkie zagadnienia, których dotykano, zasługują na pogłębienie i rozszerzenie. Wszystko jest jeszcze do zrobienia, ale na szczęście już jest komu pracować.

Najczęściej podnoszono potrzebę oświaty i nauki. Wielki głód duchowy, silna wiara w hasło „wiedza to potęga" góruje wśród tej rzeszy siermiężnej.

Pierwszy dzień, poświęcony omówieniu potrzeb wsi polskiej ujawnił dążenie do światła i wysunął je na główny plan. Słyszeliśmy tam wspaniałe przemówienia, które można nazwać programowymi. Chłop Manterys znakomicie sformułował zasadnicze zagadnienie ruchu ludowego: „Rozparcelowaliśmy między siebie olbrzymi szmat kraju, objęliśmy w posiadanie ziemię. Czy pamiętamy, jaką to na nas odpowiedzialność, jakie obowiązki ściąga? Czy będziemy umieli być obywatelami tej ziemi?" I wychodząc z tego założenia, rozwinął konsekwentnie obraz stosunku chłopów do innych grup ludności, do zadań współczesnych, do przyszłości i przeszłości kraju.

Był to głos chłopa—demokraty. A nie jest to bynajmniej pleonazm. Znamy przecież arystokratyzm chłopski, znamy i chłopską demagogję. Linja wykreślona przez mówcę nie zbaczała ani w jedną, ani w drugą stronę. Wogóle w stosunku do lat przeszłych i dawniejszych zjazdów, zaznaczyła się we wszystkich przemówieniach chłopskich znacznie większa dojrzałość i wytrawność. Umieją oni traktować sprawy rzeczowo, patrzeć na nie z szerszego stanowiska. Już żadne sztuczki łapichłopskie nie mogą się ostać wobec ich krytycyzmu i samoistnego sądu.

Umieją patrzeć krytycznie na samych siebie i cenić prawdę, nawet gorzką, — wyżej niż czcze pochlebstwa.

Kwestjom szkolnictwa i oświaty poświęcono bardzo wiele czasu. Zabierali głos włościanie; nauczyciele ludowi omawiali stosunek gminy do szkoły i nauczyciela. Brak szkół, zbyt krótki okres szkolnej nauki, nieregularne i tylko do zimowych miesięcy zredukowane uczęszczanie dzieci na naukę, sprawa przymusu szkolnego, jego dodatnie a także i ujemne strony, sprawa uposażenia nauczycieli i ich udziału w życiu ludu wszystko to było przedmiotem wyczerpującej dyskusji.

Niemniej żywolną okazała się kwestja hygieny i pomocy lekarskiej na wsi. Wprost tragiczny efekt wywołało przemówienie włościanki, która w prostych lecz barwnych i łzami nabrzmiałych słowach skreśliła straszne klęski spadające na rodziny chłopskie, skutkiem braku umiejętnej opieki dla rodzących. Śmiertelność młodych matek, sieroctwo dziatwy chłopskiej jest jedną z najkrwawszych ran wiejskiego życia. Zjazd postanowił tedy za radą dr. Tylickiej oddziaływać na gminy, by na własny koszt kształciły w Warszawie kobiety, któreby obok swej specjalności zdobywały jeszcze znajomość hygieny, pielęgniarstwa i ratownictwa i stały się opiekunkami chorych, stanęły na straży zdrowia ludności wiejskiej. Myśl tę odrazu wprowadzono w życie, dwie uczennice zgłosiły się na zjeździe.

Drugą plagą wsi jest brud, trzecią pijaństwo. I w tym kierunku zjazd powziął ważne rezolucje. Obliczono, że pieniądze które lud wydaje na trunki, mogłyby pokryć mnóstwo potrzeb dotkliwie odczuwanych a stale niezaspakajanych z braku funduszów.

Ostatnim ale nie mniej ważnym tematem była sprawa zrzeszeń gospodarczych.

Dźwignią dobrobytu gospodarczego są kooperatywy wytwórcze. Maślarnie spółkowe zainicjowane przeważnie przez „Zaraniarzy", rozwijają się doskonale. W ciągu ubiegłego roku powstała przy kółkach Staszycowskich sekcja mleczarska. Istnie-

ECHA PRAWDY.

Towarzystwo konserwowania zgnilizny moralnej.

Gdyby się dało dowieść, że Damazy Macoch, były członek konwiktu O. O. Paulinów nie istnieje wcale, że jest tylko urojeniem, fikcją, mitem lub pomysłem masonów, to niewątpliwie narodowo-klerykalny nasz obóz poświęciłby wszystko, aby to uczynić.

Niestety!

Rzeczywistość ma swoje prawa, i poddać się jej muszą nawet ci, którym ona nie przypada do smaku.

To prawda, iż rzeczywistość owa roześmiała się straszliwie gorzką ironją.

Ojciec Damazy — świętokradzca, bratobójca, rozpustnik, bluźnierca. Możemy wszystkie siedem grzechów głównych odliczać w maksymalnych dozach: on udźwignie wszystkie. Weźmie je lekko, poniesie bez wysiłku. Innego zmiażdżyłyby one ciężarem, ale on, mnich w białym habicie, nawet się pod nimi nie pochyli.

Pewną stopą dotykał on stopni ołtarza, swobodnie zasiadał w konfesjonałach, chleb łamał wzorem Jezusa, błogosławił, rozgrzeszał, przebaczał...

— I to wszystko czynił tam, na Jasnej Górze, — jęczą narodowi klerykali: to wszystko czynił brat zakonnik, to wszystko czynił kapłan, ojciec paulin, duchowa krew Kordeckiego.

Oh! dlaczego w tej piramidzie potworności niema ani jednej cegiełki wolnomyślicielskiej? Dlaczego Macoch za młodu nie był socjalistą? Dlaczego nie był pozytywistą? Dlaczego nie czytał nigdy Darwina, ani Haeckla, ani Renana?...

Jakżeby wtenczas łatwo było wszystko wytłomaczyć. Ojciec Rejman, przeor Jasno-Górski, miał już egzegezę gotową. Gdy okradziono klasztor, on pierwszy krzyknął: „To okradli wolnomyśliciele!" Ale któż się spodziewał, iż rzeczywistość tak brutalnie zada kłam jego pobożnym intencjom.

Na przeszłości Damazego ani śladu jakichkolwiek wpływów kultury nowoczesnej. Ten człowiek czytał tylko Biblję. Był księdzem w każdym calu. Nawet gdy mordował brata, pamiętał, że jest kapłanem, mającym od Boga sobie powierzoną władzę. Był człowiekiem głęboko religijnym, pobożnym, i takim pozostał. Jego rodzina była wierząca i sam wiarę zachował w dziecięcej czystości. Cokolwiekby zarzucić można jego etyce, wiara jego pozostała nietknięta i mocna.

Więc jakto? Więc nic przytoczyć nie można, coby nam zbrodniczość tej bogobojnej jednostki tłomaczyło?

je też już włościańska suszarnia cykorji. Teraz chłop sięga do innej gałęzi przemysłu rolnego. Zamierza budować spółkowe młyny, i obok nich piekarnie. Przy maślarniach wskazana jest hodowla nierogacizny i rzeźnie współdzielcze. Mówiono o olejarniach, o sadownictwie i spółkach owocowych. Zaznaczyło się bardzo silne dążenie do ujęcia handlu zbożem we własne ręce, do zakładania magazynów zbożowych. Wszystkie te przedsięwzięcia a zwłaszcza ostatnie mogą znaleźć finansowe oparcie w kasach pożyczkowo oszczędnościowych, w których gromadzą się chłopskie grosze a nie znajdując oprocentowania na wsi, przelewane są do banków lub eksploatowane przez spekulantów, którzy je wypożyczają na lichwę.

Rozwinięto tedy szeroki plan postępu gospodarczego, plan konsekwentny, w którym każde ognisko pracy coraz szersze kolejno obejmować winno kręgi, budząc dokoła życie i wyzwalając nowe siły, aż cała rzesza kmieca ujmie w swe ręce całą gospodarkę i nada krajowi inną postać. To wszystko zaś chcą chłopi zrobić „Sami sobie".

Nie chcą żebrać o wsparcia, nie chcą na siebie nakładać jarzma choćby ukutego z darowanego złota. Czują, że w miarę wzrostu świadomości społecznej, stać będzie ich na wszystko. Wszakże ich ciemnota dotąd bogaci tylu pasorzytów; czyżby ich oświata nie miała wyżywić inteligentnych pracowników, jakich im potrzeba? Czują oni dobrze, jak niezbędne są im siły fachowe, poparcie sympatyzującej z nimi inteligencji, i tej pomocy nie wzdragają się przyjąć. Ale też rozumieją, że to są swoi, że ci co pracują z ludem są także ludem.

PRZEGLĄD POLITYCZNY.

(Chmury na horyzoncie — Bunt wojskowy w Pekinie — Wojna włosko-turecka i pochód na Dardanele — Strajk górników w Anglji — Horoskopy — Pogląd lorda Cecila — Bezrobocie w Niemczech — Zatarg francusko-hiszpański).

Chwila obecna nie należy do spokojnych, to też dyplomaci mają stroskane czoła i ściągnięte brwi. Kilkakrotne, z różnych stron czynione próby interwencji pokojowej pomiędzy Włochami i Turcją spełzły na niczym. Na brzegu afrykańskim trwa walka równie zajadła, jak bezpłodna, ostatni atak na Dernę, odparty przez garnizon włoski, kosztował Turków setki zabitych i rannych. Eskadra włoska wybiera się znów na Dardanele; tym razem groźba nie jest bezzasadna, bowiem oddział angielskiej *home-fleet* wyruszył pośpiesznie z Plymouth na morze Śródziemne...

Połoczysty, imponujący, spokojny rozwój wypadków chińskich uległ ostatnio zmąceniu: część armji północnej, konsystującej w Pekinie pod wodzą Juanszikaja, wszczęła dość niespodziewany rokosz i rozlała się po mieście niszczącym potokiem, paląc i mordując. Wśród mieszkańców stolicy wybuchła panika; rządy europejskie, na wniosek Japonji, zamierzały już wystąpić czynnie jak w r. 1900-ym, lecz tę ich niebezpieczną dla Chin gotowość uprzedził sprawnie Juanszikaj; rokosz zdławiono surową represją, przyczym prezydent rzeczypospolitej ujawnił wielką umiejętność w kojarzeniu starochińskiej tradycji „uspakajania" buntów ostrzami mieczów katowskich — z nowoczesnym systemem salw ulicznych.

Dn. 10 marca Juanszikaj w obecności dygnitarzy państwowych tudzież delegatów sejmów prowincjonalnych złożył uroczystą przysięgę na wierność konstytucji, obowiązując się zarazem „usunąć przeżytki rządów absolutnych" co będzie trudem niemałym, zważywszy, że takowych nie zdołano dotąd jeszcze usunąć... we Francji, [illegible]

Nad Europą, za sprawą górników angielskich, zawisła czarna chmura powszechnego głodu węglowego. Na wyspach brytańskich strajk trwa już dwa tygodnie

— Zaraz... zaraz! Mam! Znalazłem: — woła *Głos Warszawski* a za nim cały chór głosów katolickich.—Damazy Macoch był pisarzem gminnym. Sprawa się wyjaśnia. Wolelibyśmy, aby to był wolnomyśliciel, darwinista, albo zwolennik materjalizmu dziejowego. Ale mój Boże! Umiejmy ograniczać swe żądania. Poprzestańmy — na pisarzu gminnym. W gruncie, zdobycz nie jest tak licha. Bo podstawmy tylko zamiast ojca paulina, pisarza gminnego. Pisarz gminny to jest najmita rządowy. A czy najmita rządowy może być polakiem? Oczywiście nie: stoi on jakby po za narodem. Otośmy już weszli na dobrą drogę. Damazy Macoch stoi po za narodem. Idźmy dalej. Kto stoi po za narodem, ten mu się przeciwstawia, ten staje się jego wrogiem. Lecz jako wróg narodu, Macoch cóż szkodliwszego mógł przedsięwziąć, niżli zamach na wiarę katolicką, skarb Polaków najdroższy? Lecz skoro tak, to zamach jego właściwie przestaje być straszny, ponieważ przychodzi zewnątrz; nie jest objawem rozkładu wewnętrznego. Życie wewnętrzne klasztoru było i jest zdrowe; było i jest niepokalane. Pisarza gminnego — powieście! Ale klasztoru, ale klasztoru nie szargać! Alleluja! Niech żyje Częstochowa po raz trzeci cudownie obroniona!

— Uuff! *Głos Warszawski* odsapnął ciężko, ocierając pot kroplisty z czoła. Trzeba przyznać, że obrona nie należała do najłatwiejszych.

Wyjątek czy reguła?

Wszystkich sił użyto w obozie klerykalnym na to, aby zbrodnicze czyny słynnej trójcy Jasno-Górskiej zwalić na karb jej pochodzenia.

— To nie byli kapłani z powołania, słyszymy; to byli intruzi, którzy wdarli się do miejsca świętego, zwabieni brzękiem niekontrolowanego złota.

Uwaga trafna: godzimy się na nią w zupełności. Atoli, zapytać musimy, skąd rekrutuje się ogół naszego kleru, z jakich pochodzi żywiołów? Czy ogółowi temu przyświeca gwiazda powołania? Damazy Macoch był pisarzem gminnym. A kim był ojciec Rejman, przeor Paulinów? — Pisarzem w urzędzie powiatowym. A na jakim gruncie wykwitł ks. Kłopotowski, ks. Kominek, ks. Duda, ks. Kukuła, ks. Teofil Kowalski i dziesiątki i setki innych?

Wszyscy oni oderwali się od pnia ludowego. Są dziećmi drobnej zagrody wiejskiej, albo miernie zamożnej rodziny rzemieślniczej. Ich rodzice jedli chleb w pocie czoła zarobiony. Żelaznym pługiem krajali twardą ziemię, stali przy warsztacie stolarskim, lub ciężkim młotem walili w kowadło. Pot uznojonego czoła mieszał się z ich powszednią strawą, ale przecież strawę własnym dobywali trudem.

I może ów trud, uznojony potem, podsyp-

Kilka milijonów ludzi odczuwa bezpośrednio jego skutki fatalne, obie strony trwają w uporze, rząd czyni chwalebne, dotąd bezskuteczne wysiłki ku ich pojednaniu, opinja zwracać się poczyna przeciw strajkującym, lecz porządek wszędzie panuje wzorowy, co złożyć trzeba w zupełności na karb wysokiej kultury politycznej Anglików, o której my, mieszkańcy głębi kontynentu, mgliste zaledwie mamy pojęcie. Zasada *minimum płacy*, która stanowi, jak wiadomo, kamień obrazy w danym wypadku, nie jest zresztą w Anglji nowością. W r. 1909 t. zw. *Trade Board Act* ustalił płace minimalne dla kilku gałęzi przemysłu, tam zwłaszcza, gdzie grasował t. zw. *sweating system*, czyli chałupnictwo, połączone ze strasznym wyzyskiem pracowników. Wielką, niespożytą zasługą rządu radykalnego, wespół z kierownikami strajku, będzie wprowadzenie bodaj przymusowe systemu płacy minimalnej do górnictwa, najpotężniejszejszej gałęzi przemysłu angielskiego. Tytułem ścisłości należy dodać, że 60% właścicieli kopalń w Anglji właściwej godzi się na to ustępstwo, lecz szkoccy i walijscy przemysłowcy stawili opór zajadły. Ten sam stosunek zachodzi wśród górników w Anglji skłaniają się oni do zgody, w Szkocji i Walji prą do dalszego strajku. Ta bezwzględna opozycja mniejszości szkocko-walijskiej zarówno pracodawców jak robotników budzi właśnie niezadowolenie opinji, o którym wspominaliśmy poprzednio.

Przywódcy ruchu są zresztą pełni otuchy. Poseł Keir Hardie zwierzył się współpracownikowi *Matina* ze swych poglądów na dalszy przebieg zatargu.

— „Górnicy — rzekł — wygrali partję. Ostatnia deklaracja rządowa świadczy wyraźnie, że system płac minimalnych, wyznaczanych w każdym okręgu przez Związek górniczy — stanowi zupełnie sprawiedliwy i rozumny postulat.

Co dalej nastąpi? A oto — we czwartek lub piątek premjer wezwie właścicieli kopalń szkockich i walijskich i powie im tak. Rząd uznał słuszność żądań górników; musicie i wy je uznać dobrowolnie, w przeciwnym razie skłoni was do tego przymus prawny. I w następny poniedziałek, najdalej we wtorek — strajk będzie skończony".

Nie ulega zresztą wątpliwości, że istotnie p. Asquith i jego radykalni koledzy okazują skłonność do takiego rozwiązania kwestji; lecz liczyć się muszą poważnie z opozycją zachowawczą, która ten sposób interwencji uważa wręcz — i nie bez słuszności — za akt rewolucji społecznej.

Lord Robert Cecil wyrzekł w Izbie Wyższej te słowa znaczące:

— „To co się dzieje obecnie w Wielkiej Brytanii nietylko nas, Anglików, obchodzi. Sprawa tu stawiona obejmuje szersze horyzontu: jest to sprawa ogólno-światowa i rozwiązanie jej tutaj będzie dla całego świata precedensem".

Wypadki w Niemczech, w okręgu górniczym Ruhr, potwierdzają pogląd szlachetnego lorda, choć bynajmniej zachwiać nie mogą przekonania tych, co rozum polityczny stanu widzą słusznie w regulacji dążeń postępowych, a nie w ich tamowaniu.

Rząd niemiecki, dla którego zdanie zachowawców jest najwyższym autorytetem, zajmie prawdopobnie wręcz odmienne od p. Asquitha stanowisko względem swoich górników, którzy już w liczbie 300,000 porzucili pracę. W Bochum, Essen, Dortmundzie wojsko konsygnowane jest pospiesznie; całe brzemię nacisku państwowego ciąży tu wyraźnie na pracownikach, podczas gdy przedstawiciele prawicy społecznej korzystają z forsownego poparcia. Dzięki temu pruskiemu systemowi interwencji doszło już, w pierwszym dniu strajku, do krwawej walki w Bothlinhausen, gdzie kilka osób poraniono.

Układy francusko-hiszpańskie w kwestji marokańskiej, przerwane w listopadzie wskutek wygórowanych żądań Hiszpanji, toczą się jak po grudzie. Opinja francuska, bardzo zrazu cierpliwa i pojednawcza, poczyna zdradzać niezadowolenie. W tych dniach premier francuski wezwał do siebie posła p. Pereza Caballero i wręcz ostrzegł go przed dalszym piętrzeniem trudności ze strony rządu króla Alfonsa, co może doprowadzić do zerwania tym razem ostatecznego. „Bylibyśmy bardzo zdziwieni — pisze wpływowy *Matin* w artykule wstępnym pióra St. Lauzanne'a — gdyby rząd nie powziął nareszcie decyzji, by z ustanowieniem naszego protektoratu w Maro-

---

nął im, aby dla dzieci swych lżejszej zapragnęli doli. A więc, od ust sobie odejmując jadła, zaczęli synów posyłać do szkółki wiejskiej. Może który z nich zostanie urzędnikiem w powiecie, a może pisarzem gminnym? A jeśli Bóg pobłogosławi, to synalek, kto wie? może zostać księdzem i osiąść na probostwie.

Wtedy to, gdy pierwsza myśl o wyniesieniu syna, wkradnie się do duszy chłopa, Chryste Jezu! czego nie czyni on, aby marzenie swe urzeczywistnić. Zrujnuje się, sprzeda ostatnią krowę, aby swego Jędrka posłać do gimnazjum, potym do seminarium. Byle prędzej, byle szybciej go przepchnąć, byle swymi śmiertelnymi oczyma mógł chwałę dziecka własnego oglądać. Poprzestaje na czterech klasach, aby kosztownego czasu nie tracić.

Dyrekcje gimnazjów oddawna pobłażliwie traktowały aspirantów do stanu duchownego.

— Andrzej Duda, ty w ksiendzy idiosz?—pyta dyrektor.

— Tak jest, dopraszam się łaski pana dyrektora.

— Nu, pamiętaj! A to inaczej my by ciebie, takiego durnia, nie przepuścili.

Gdy syn, już jako kleryk w sutannie, wróci na wywczasy letnie, do ojcowskiej zagrody, stary Duda nadziwić się mu nie może. I nie wie, czy ma go w rękę całować. I nie wie, gdzie ma go posadzić. Przedewszystkim czuwa, aby się do pracy żadnej, boże broń, nie dotknął. Na toż tyle ponosił wysiłku, na to dał sobie krowę zafantować, aby Jędrek brał widły, albo sochę w rękę?

— Matko Boska! rozmyśla urzewniony chłopina: — jaka to godność, jakie przemienienie w tym dziecku. A toż niedawno jabłka kradł z dworskiego ogrodu i woły pasał na wygonie, gdy dziś pod rękę chadza z księdzem plebanem, i na imieninach u dziedziczki siedział przy stole obok dzierżawcy z Olesiowa. A za lat parę sam będzie miał gospodarstwo, i sad owocowy i wolant i służbę, wiadomo, jako przystoi proboszczowi. I lud będzie go podejmował pod nogi, i znosił one snopki owsa, i miarki jęczmienia, i groszaki zaduszne, i ruble na msze święte, i dwudziestopięciorublówki za eksportację, a jeszcze za pokropek święty, za ofiarowanie do serca Jezusowego, i za „Zdrowaś Marja" i za dzwony, o, retyl retyl A toż bez mała przez miesiąc zgarnie tyle gotówki, ile on, stary gospodarz, w ciągu roku ze swej krwawicy nie wyciśnie!...

* * *

W takich warunkach, w takim klimacie, dojrzewa nasza młódź kapłańska. Zawód duchowny poczytuje za wyzwolenie się z zakonu twardej pracy, w którym żyli ojcowie. Jest ona produktem zboczenia z naturalnej, twórczej drogi, po której rozwój żywiołu ludowego iść winien. Gdy żywioł

ku nie czekać na układ francusko-hiszpański. Protektorat należy omówić, stworzyć i ustanowić bez udziału Hiszpanji, skoro nie można tego dokonać z jej życzliwym udziałem".

Listy z Galicji.

V

Nominacja dr. Bilińskiego i ustąpienie jego z prezesury Koła. Nowi członkowie Izby Panów. Pogłoski o ustąpieniu hr. Stanisława Badeniego.

Dr. Biliński został niespodzianie wspólnym ministrem skarbu, zajmując przez to jedno z największych stanowisk w monarchji. Skutkiem tego musi złożyć prezesurę Koła Polskiego, co jest smutną koniecznością.

Pisma wiedeńskie rozpisywały się obszernie o dr. Bilińskim, podnosząc zgodnie jego wielkie zdolności, ogromną wiedzę, zręczność praktyczną i powagę, jaką się cieszy w sferach decydujących.

Dr. Biliński należy do tych bardzo niestety rzadkich Polaków, którzy są wybornymi politykami. Posiada on duże przymioty. Przedewszystkim umie objektywnie oceniać różne siły społeczno-polityczne, jest bardzo taktowny i zrównoważony. W pertraktacjach praktyczny, chcąc zrozumieć stanowisko przeciwnej strony, umie stanąć chwilowo na jej punkcie widzenia. Przeciwnik frazesu i wszelkiej blagi, wszystkie sprawy rozpatruje rzeczowo. Będąc gorącym patrjotą polskim, uznając również prawa wszystkich narodów do bytu i normalnego rozwoju, dlatego też jest bardzo pożądanym tam wszędzie gdzie chodzi o zaprowadzenie jakiegoś modus vivendi pomiędzy różnymi narodami.

Dr. Biliński jest gorącym zwolennikiem konstytucyjno-monarchicznego ustroju w Austrji widząc w dynastji niezbędną podstawę jedności państwowej. Był on zawsze zwolennikiem koalicyjnego ministerstwa w Austrji, pragnąc szczerze utrwalenia rządów parlamentarnych. Nieocenioną jego zaletą, jako męża stanu, jest cierpliwość, giętkość polityczna, pozwalająca mu przezwyciężyć największe trudności, oraz zdolność orjentowania się w sytuacji i tworzenia nowych kombinacji politycznych.

Dr. Biliński ma już 66 lat życia, a jest jeszcze pełen energji. Obecnie uczy się języka serbsko-chorwackiego, gdyż jako wspólny minister finansów jest zarazem faktycznym wielkorządcą Bośni i Hercegowiny i dlatego pragnie mieć możność porozumienia się z mieszkańcami tych prowincji w ich ojczystym języku.

Niektórzy zarzucają dr. Bilińskiemu, że opuścił posterunek w Kole Polskim. Zarzut ten jest niesłuszny. Dr. Biliński, zajmując obecnie tak wysokie stanowisko i mając ciągłą styczność ze sferami decydującymi w państwie, będzie mógł w ważnych momentach poprzeć żądania Koła.

Najsilniej da się odczuć brak dr. Bilińskiego w dalszych pertraktacjach polsko-ruskich. Nawet podolacy liczyli się bardzo z jego zdaniem, tak że umiał on skutecznie miarkować ich opozycję, ułatwiając bardzo akcję pojednawczą namiestnika i marszałka.

Prasa narodowo-demokratyczna wyje wprost z wściekłości, że prezesostwo Koła dostanie się demokracie. Kiedy p. Głąbiński miał zostać kierownikiem klubu polskiego w Wiedniu to wszechpolacy, opierając się na liczbie swoich posłów nie kryli się z tym, że uważają, iż im właśnie należy się prezesostwo Koła i obecnie, kiedy mowy niema o tym, aby ktoś z ich ludzi mógł zająć to stanowisko, rozdzierają szaty, twierdząc, że nie przynależność do stronnictwa, lecz uzdolnienie rozstrzygać powinno o tym, kto będzie prezesem Koła. Zapominają niebaczni, że to ostatnie kryterjum jest w gruncie rzeczy dla nich samych najgorsze, bo skoro uzdolnienie polityczne miałoby rozstrzygać, to ani p. Głąbiński, ani inny endek nie mógłby zostać w przyszłości prezesem Koła, ani kierownikiem żadnej z poważniejszych instytucji politycznych.

ów, jako całość, dźwiga się powoli, ekonomicznie i kulturalnie, w górę, tu i owdzie jednostki, uniesione pędem karjery, odrywają się od rodzimego podłoża, i miast twórczo, pozytywnie we własnym środowisku pracować, przemycają się do zawodów, na pasorzytnictwie opartych, kładąc się całym ciężarem swych potrzeb, swych zbytków i nadużyć na zgięte barki klas pracujących. Oto rodowód naszego duchowieństwa w jego składzie obecnym.

„Pochód na Wawel".

Idą posępni
a grają im dzwony
ze wszystkich redakcji,
a grają im dzwony
chwalebne.

Idą posępni
a niosą szablony
gipsowe,
choć dęte a dla nich
ciążące jak ołów,
dalekie od twórstwa,
jałowe.

A skrzypią im pióra
Zza wszystkich zza stołów,
bo roi się, mrowi
od akcji w redakcji,
by hymn „Pochodowi"
piać w chwały hejnały
podniebne.

Więc grają im dzwony
ze wszystkich redakcji,
wtórują im brzmiące
cymbały.

A wrzaski, oklaski,
reklamy trombony
wkrąg wszędy kraj cały
zalały.

A idą posępni
uczeni, hetmani,
królowie i chłopi,
panięta i panie,
ci zbrojni, ci strojni
w efekty choć tanie,—
na pięćset tysięcy liczone.

Demokraci ze swojej strony wybrali prezydenta Lea na prezesa Koła Polskiego. Czas jakiś wahano się między prezydentem Leo a posłem Hermanem. W końcu jednak szanse pierwszego z nich przeważyły. Za prezydentem Krakowa przemówiły dwie okoliczności: 1) gruntowna znajomość spraw ekonomicznych kraju, 2) duża zręczność i energja ujawniające się w zarządzie grodem podwawelskim.

Nie ulega jednak wątpliwości iż poseł Herman posiada znacznie szersze widnokręgi umysłowe od dr. Lea, iż jest człowiekiem wyższej wogóle kultury umysłowej, iż wreszcie posiada duże zalety charakteru. Sądzę też, że demokratyzm dr. Hermana jest głębszy znacznie niż prezydenta Lea.

Przed kilku dniami nastąpiły nowe nominacje członków Izby Panów. Marszałek Badeni, który był dotychczas dożywotnym członkiem tego ciała, został teraz dziedzicznym. Jest to duże odznaczenie, które należało się dawno marszałkowi.

Tylko niektóre rody polskie w Galicji uzyskały je. Dziedzicznymi członkami austrjackiej Izby panów są: książęta Czartoryscy, Sanguszkowie, Sapiehowie, Lubomirscy, oraz hrabiowie Potoccy (dwie linje Łańcucka i Krzeszowicka) Lanckorońscy, Gołuchowscy, Jaworowscy, Lewiccy-Siemińscy i obecnie Badeniowie.

Abrahamowicz, Dydyński i dyr. banku Zgórski zostali dożywotnimi członkami.

Od pewnego czasu kursują tu pogłoski, że marszałek hr. Badeni ma zamiar, z powodu nadwątlonego zdrowia, ustąpić z zajmowanego stanowiska.

Trudno określić ile jest w pogłoskach tych prawdy. W obecnym zwłaszcza położeniu usunięcie się hr. Badeniego byłoby bardzo niepożądane. Istotnie marszałek jest człowiekiem wytrawnym politycznie, znającym doskonale kraj, bardzo pracowitym, którego konserwatyzm jest o wiele łagodniejszy niż tych, którzyby mogli go zastąpić. Prócz tego hr. Badeni jest szczerym i gorącym zwolennikiem ugody polsko-ruskiej; on jeden w obecnych czasach może z godnością i poczuciem sprawiedliwości prowadzić obrady w sejmie.

Gdyby marszałek rzeczywiście zrezygnował, to miejsce jego, według uporczywych pogłosek, zająłby albo Dawid Abrahamowicz, wiecznie się o coś ubiegający, albo ex namiestnik hr. Leon Piniński.

Dawida Abrahamowicza protegować będzie niezawodnie jego sukcesor minister Zaleski.

Nominacja ta spotkałaby się niezawodnie z ogromnym niezadowoleniem wszystkich polskich żywiołów szczerze demokratycznych i Rusinów. Jeszcze gorszą o wiele byłaby nominacja hr. Leona Pinińskiego, największego reakcjonisty w Galicji, protektora moskalofilów i narodowych demokratów, zblazowanego ćwierć panka i próżniaka. Leon Piciński to symbol najzaciętszej reakcji i korupcji, samowoli biurokracji i klerykalizmu. Nominacja ta byłaby poprostu prowokacją nieuzasadnioną żadną potrzebą.

Podolacy pobici w Kole Polskim i w Sejmie chcą zapomocą marszałkowstwa powrócić chociaż część utraconego wpływu. Bacznych obserwatorów życia politycznego w Galicji dziwiło bardzo zachowanie się podczas Sejmu Abrahamowicza i Pinińskiego, a zwłaszcza tego ostatniego.

Dwaj ci panowie, zazwyczaj namiętnie zwalczający wszelkie ustępstwa dla Rusinów, przyczaili się jakby na czas jakiś. Hr. Piniński, któryby w innym czasie wystąpił niezawodnie z gwałtowną filipiką przeciwko mądrej i pojednawczej polityce dr. Bobrzyńskiego, milczał jak zaklęty. Niechciał widocznie występować przeciwko rządowi jawnie, aby łatwiej wdrapać się na fotel marszałkowski i wówczas dopiero pokazać pazury.

W każdym razie polskie żywioły postępowe powinny okazać dość energji, aby głośno wypowiedzieć swój protest przeciwko samym choćby tylko pogłoskom o nominacji Abrahamowicza, a zwłaszcza Pinińskiego na marszałka krajowego.

Ludwik Kulczycki.

Wskrzeszony Autorytet.

II.

Przeciwko każdej idei Proudhona niema skuteczniejszej broni, niż inna idea Proudhona. Każda postawiona przezeń teza znajduje w nim samym, wcześniej lub później, najzaciętszego przeciwnika.

Prą bosi pancerni
i piesi husarze,
prze Zygmunt, choć z żony ciężarem,
i Bona z chłopięty,
Stanisław prze Święty
ze strasznym chronicznym katarem.

Ten, ów iść nie może,
ten zległ już nieboże,
tu mdleje Jadwiga w udręce,
tam wytchnąć chce Skarga:
ból zęba nim targa,
ze skargą ma rękę na szczęce.

Nic nie pomoże,
że iść ktoś nie może,
czy bieży, czy staje, czy leży.

Reklama popycha:
„na Wawel, do licha!
do kuchni choć dojdźcież zamkowych,
a tam odpoczniecie
niejedno stulecie
w swych płaszczów pierzynach spiżowych“.

Za reklamą — powtarzajmyż to samo...
Za reklamą — wiedźcież ludzie o cudzie...
Za reklamą niechaj pióra w takt skrzypią...
Za reklamą — niechaj składki się sypią...
Za reklamą — hej! na Wawel „Pochodzie“.
Za reklamą—będziem mądrzy po szkodzie.

Rekolekcje.

Raz w roku, około Wielkiej Nocy, Szkoła Polska składa Kościołowi katolickiemu daninę z trzech dni, w czasie których uczniowie, zwolnieni od lekcji dążą do konfesjonału.

Obowiązkowa spowiedź jest poprzedzona zazwyczaj obowiązkowymi rekolekcjami — inaczej wykładami, „których charakter li tylko się zmienia“... jak twierdzą przełożeni szkół.

Niema twierdzenia w jego dziełach, któregoby samby nie podkopał; niema twierdzenia, któregoby sam nie obalił.

Oto jest pierwsze wrażenie, którego doznajemy przy zetknięciu się z długim szeregiem jego namiętnych, zapalczywych pism: wrażenie niesłychanego zamętu. Prace Proudhona, ujęte w całokształcie i oglądane z pewnej odległości, wydają się jakimś fantastycznym turniejem idei, gdzie najsprzeczniejsze zasady toczą ze sobą śmiertelne boje po kolei, naprzemian odnosząc zwycięstwa i ulegając porażkom.

Spójrzmy na chwilę na dziwne to pobojowisko. Na przepysznym rumaku bojowym staje w szrankach idea demokracji. Proudhon osobiście oddaje jej do rąk miecz własny i własną tarczę. Ale nie dowierzajmy tej jego sympatji. Niebawem gdy wystąpi przeciwnik, Proudhon uzbraja go również własną ręką do walki; a gdy przeciwnik ów ubije pod demokracją rumaka, Proudhon wraz z innymi będzie bił oklaski zwycięzcy.

Proudhon, bowiem, był demokratą żarliwym i fanatycznym; będąc atoli demokratą żarliwym aż do fanatyzmu, z równie fanatyczną żarliwością zwalczał ideę głosowania powszechnego, tę podstawową demokracji współczesnej zasadę.

Podobnież dwoił się on wszędy.

Jego ideałem była sprawiedliwość; a jednak, czcząc sprawiedliwość, zarazem wyśpiewał odę pochwalną na cześć prawa siły.

Był on indywidualistą do głębi duszy, a jednocześnie wolność w postaci współzawodnictwa na polu wytwórczości wydawała mu się bandytyzmem i rozbojem, przez system uświęconym.

Był on wielbicielem Rewolucji Francuskiej, i, jednocześnie, wydrwiwał i piętnował, jednego za drugim, wszystkich jej działaczy i bohaterów.

Był on socjalistą: a przecież nikt z większą od niego siłą logiki i oczywistości, i nikt z większą zapamiętałością, nie burzył wszystkich po kolei współczesnych mu systemów socjalistycznych.

Poza dziedziną zasad moralnych, które dlań zawsze były nietykalne i święte, nie oszczędzał Proudhon powagi żadnych pojęć, żadnych prawd, żadnych pewników; ukazując te same rzeczy w coraz to innym świetle, lubował się w zestawianiu jaskrawych kontrastów, w ten sposób osiąganych. Nakształt zręcznego magika brał on do rąk przedmioty, które pod dotknięciem palców jego, rzekłbyś, mieniły swą naturę, z jednej strony imponując swą doskonałością, gdy strona druga raziła ohydą i potwornością.

Cóż sądzić o tym osobliwym widoku? Cóż sądzić o umyśle, który tak osobliwy obraz turnieju ideowego, obraz ciągłego braku równowagi, w dziełach swych roztoczył?

— Że życie jego całe wikłało się w labiryncie ślepym i bez wyjścia? Że myśl jego bezsilnie tłukła się w ciasnym kręgu, kreśląc zygzaki, krzyżujące się ze sobą ustawicznie?

Byłaby to odpowiedź zbyt powierzchownie prosta.

Bez wątpienia, Proudhon w pracy swej nagromadził niebywały stos twierdzeń przeciwstawnych. Ale sprzeczność, zachodząca między nimi nie była wynikiem nieuwagi, ani też niemocy. Sam on zdawał sobie sprawę z przebiegu swego myślenia i przebieg ten uważał za metodę, za metodę naukową i skuteczną. Tę metodę, mianowicie, przejął od Hegla. Śladem niemieckiego djalektyka, stawi on naprzód tezę, stawi potym antytezę, aby w końcu znaleźć syntezę. Wykazuje on stale, że wszelkie instytucje, wszelkie urządzenia społeczne, bądź religijne, bądź polityczne, bywają pod pewnym względem prawdziwe, pod innym względem — błędne, że wreszcie stać się one mogą prawdziwe na wyższym szczeblu organizacji, pojęte w sposób nowy i oczyszczone z pierwiastkowego balastu — błędów.

Współzawodnicząc na polu djalektyki z Heglem, usiłuje on ze starcia antynomji wydobywać prawdy nowe i zbawienne. Poprzez las zszeregowanych sprzeczności, usiłuje on wskazać nam rodzące się oblicze syntezy.

Dodajmy do tego, że ów filozof rozkochany w antynomjach, był jednocześnie polemistą, atakującym i atakowanym przez aktualność, ściganym od impetu chwili. Starał się on ciągle wybiegać naprzód po za dzień dzisiejszy, uprzedzać wypadki, w lot chwytać konjunktury. Śledząc z uwagą stale wytężoną bieg życia publicznego we wszelkich jego przejawach, zarówno politycznych, jak ekonomicznych, narodowych jak międzynarodowych, jakimżby musiał być granitem konsekwencji i sa-

---

O oznaczonej godzinie kościół zalewa fala młodzi tryskająca życiem — aby za chwilę, jak wyraża się ks. prefekt, wejrzeć w swoje całoroczne „życie duchowne" i „uczynić rachunek sumienia".

Tymczasem jednak młódź czuje się, jak w teatrze, na moment przed odsłoną. Szmer rozmów nieskrępowanych, walka o miejsca siedzące, zdania o prelegentach.

W pewnej chwili zjawia się ksiądz, intonuje pieśń — zwarty tłum głów powstał — zakołysał się...

Gdzieś zdaleka dumni spojrzeli ojcowie — matka rozrzewniona widokiem tylu „naszych katolickich" synów. Chusteczkę ciśnie do oka... Wreszcie na ambonie zjawia się zaprzysiężony agitator i nim rzuci „słowo boże" — walczy o ciszę i godne przyjęcie..

„Rolnik wychodzący wiosną w pole — rozpoczyna wreszcie — jest przeniknięty zawsze ***dwojgiem*** (autentyczne!) uczuciami nadzieją plonu i niepokojem o przyszłość"...

A młódź słucha słów z uwagą i skupieniem — jeszcze nawet z dobrą wolą..

„Tako i my jesteśmy dziś rolnikami, którzy rzucają przed was, pełni niepokoju, pytanie:

— Co z was będzie? — Czy będą z was ludzie?... Teraz właśnie jest uroczysta chwila, w której chcemy od was mowy dusz waszych. Napewno niejeden z was już odpowiedział sobie, na pytanie: „Czym będę?— inżynierem, doktorem technikiem, adwokatem? A może jeden z was w chwili pięknego i szlachetnego uniesienia przysiągł: będę kapłanem i sługą ludzkości, — ale czy zadaliście sobie pytanie: Czy będę człowiekiem— człowiekiem w najwyższym tego słowa znaczeniu — ***jak nas uczył katechizm***: — istotą stworzoną z duszy i ciała, służącą nieustannie Bogu dla jedynej chwały Jego. Czy będziecie takimi ludźmi?".

Dotąd jeszcze księdzu towarzyszyła uwaga dalej idzie albo całkowita dla słów jego obojętność albo silne zdenerwowanie i oburzenie. „Rzucamy pytanie przed was — bo czasy dla wiary są bardzo trudne, bo zapomina się coraz bardziej o czterech głównych prawdach, które do zbawienia wiecznego są niezbędne.

Zapomina się teraz niejednokrotnie, że jest Bóg — Bóg ojców naszych—wychowawca pokoleń

mokontroli, aby formuł raz wygłoszonych nie cofnąć, nie okroić lub nie zmienić.

Inne, natomiast, nasuwa się pytanie: czy pod zmianami, które różnorodność okoliczności usprawiedliwia, nie da się odnaleźć pewna jednolitość wysiłku, pewna ogniskowość woli, wiernej swym wytycznym i pracującej u podstaw jednego, wspólnego przedsięwzięcia?

Aby na pytanie to dać odpowiedź wyczerpującą, należy krok za krokiem prześledzić myśl Proudhona w jej rozwoju, w jej fazach następczych. Trzeba wniknąć w najgłębszą treść jego pracy, za pomocą której, na podstawie nieustannie rosnącego zasobu doświadczeń, starał się on rozstrzygać zagadnienia, stawione przez życie. Tę drogę mozolnego, lecz jedynie skutecznego badania, obiera w poważnej pracy znany socjolog francuski, ze szkoły sławnego Durkheima, C. Bougle[1]).

Autor, jako cel, stawi przed sobą wykazanie, że Proudhon, mimo szeregu załomów i przemian w rozwoju swej myśli, pozostawał wciąż wierny jednemu ideałowi społecznemu. Co więcej, że przyświecała mu przez całe życie ta sama wizja rozwiązania kwestji ekonomicznej w społeczeństwach współczesnych. Uporczywą obecnością tej to wizji przed gorączkowym jego wzrokiem tłomaczyć należy najdziwniejsze, niespodziane reakcje i zwroty w umysłowości Proudhona, który aż do końca życia przechował wiele ziarn ze swej pierwiastkowej, młodzieńczej siejby ideologa.

(D. n.) *St. Romanowski.*

[1]) „La sociologie de Proudhon", Paris 1912.

Dwaj ewangeliści.

(Józef Weyssenhoff i Ludwik Straszewicz).

W zbiorku Weyssenhoffa *Znaj Pana* wszystkie nowele są ładne, a jedna śliczna. Tytuł jej: *Pod piorunami.*

Tak wieści p. Ludwik Straszewicz, imieniem czytelników *Słowa*, składając snop kwiatów u stóp powieściopisarza: [1]) „Śliczna i wzruszająca — powiada. — Potrąca o struny najbardziej w sercach naszych w tej chwili napięte. Dotyka nabrzmiałych żalów i bólów piekących. I obaw ciężkich". Aczkolwiek p. Straszewicz nazwał nowelę tę — śliczną, już ze słów powyższych wywnioskować możemy, iż nie o zalety jedynie artystyczne mu idzie; nie na jej uroku poetyckim wyłącznie wartość jej zasadza.

Jakoż się nie mylimy.

„Tam w Petersburgu — czytamy dalej [2]) — w obecnej chwili radzą nad Chełmszczyzną i dekretują — na podstawie cyfr kalekich, na zasadzie podań policyjnych. Uchwały, które dyktuje ułomność duszy, opanowanej przez namiętności, zdecydują, jaką koleją ma dalej płynąć życie nad Bugiem".

A więc artyzm Weyssenhoffa, wedle przytoczonej cytaty, nie jest jakąś tam rośliną napowietrzną. On tkwi korzeniami w gruncie naszej rzeczywistości. Rzeczywistości najzupełniej konkretnej, określonej co do czasu, wiadomej co do miejsca. Ów artyzm karmi się sokami polityki, nasiąka bólem narodowym.

Talent Weyssenhoffa bywa nietylko źródłem zadowoleń estetycznych: zdaniem pana Straszewicza staje się on dla nas ożywczym źródłom otuchy. Pijąc z tego źródła, zaczerpniemy hartu w duszę, wzmocnimy odporność swą przeciwko ciosom, jakie biją zewsząd w nasze piersi. To źródło w pierś narodu wlewa 'niezłomne przeświadczenie, że uchwały ludzkie nie są czynnikiem jedynym: że „nad teraźniejszością panuje przeszłość; że w stosunkach ludzkich, ze szczerego ukochania, z umiłowania bliźnich i obowiązku własnego — płynie nieraz moc największa!"

Oto więc doniosłość Weyssenhoffa. Oto więc naszej wiary '— opoka!

Gdy tam — w Petersburgu — kują przeciw nam pioruny, my tutaj 'na posterunkach swoich, „pod piorunami" 'stać będziemy wytrwale, i możemy stać spokojnie, bo oto Weyssenhoff w pokładach ziemi ojczystej znalazł kruszec tak cenny

[1]) P. *Słowo* d. 3 marca: „Potęgi".

[2]) P. tamże.

a dochodzicie do takich absurdów, że pieśń „My chcemy Boga" — pieśń spływającą z ust ludu umiecie traktować tylko dekoracyjnie, już ze względów estetycznych, jako zadowolenie artystyczne. Dochodzi już, do tego, że młodzież gorszona przez literaturę, prasę, rozmowy, przykłady, pisze Bóg, przez małe b..."

Ale młodzież już dawno wybiegła myślą poza te ciemne, niewspółmierne z świetlanością życia mury — na świat szeroki...

I pstrzy się rekolekcja wykrzykami o „parszywych owcach" „burzycielach wiary" „nędznym niedowiarstwie" i „podłej walce ze świętym kościołem katolickim".

Skutek jest widoczny. Po każdej przerwie garść słuchaczów znika.

Księża, mniej lub bardziej przygotowani, z roku na rok operują świętymi argumentami, jako biczem zapędzającym stadko ku konfesjonałowi.

Maleńkie tego rezultaty. Pomimo „obowiązkowości" i kontroli ścisłej — rekolekcje nie przysparzają kościołowi obrońców i wyznawców śród młodzieży.

Dziś jeszcze — dzień rekolekcji — więc młodzież czuje obowiązek szkolny przyjść i z trudem wysłuchać tych „lekcji o odmiennych charakterze"— ale jutro — jutro dzień spowiedzi. Ujrzymy szeregi idących kornie ku konfesjonałowi malców — „katolicka" młodzież pana Kosiakiewicza z pewnością dopisze...

Tak to wielkie drzewo religji, w swobodnych przestworzach ducha potężnymi konarami strzelające ku niebu, w atmosferze ucisku, otoczone przymusem — zmienia się w suchą kartowatą roślinę, na której żerują księża nakształt szpaków, wyuczonych katechizmu i łaciny, zmienia się w rzecz, będącą przedmiotem godnym pożałowania' dla starszych a pośmiewiskiem dla młodzieży.

i tak niepożyty, że gdy się naród weń uzbroi, połamią się wtenczas o jego cudowny pancerz pioruny nieba i ziemi.

Gdzież kruszcu tego leżą cudowne kopalnie? Idźmy za przewodnictwem pana Straszewicza. On wie. On nam pokaże. Pokaże nam wnętrze życia w smutnym kraju chełmskim. Odsłoni szczegóły żywej historji. „Od statystyki i raportów inne i prawdziwsze".

* * *

Nowelę Weyssenhoffa, będącą co do formy, skończonym arcytworem na miarę greckiego posągu, udało się panu Straszewiczowi przekuć w posążek mały, w miniaturę klasyczną. Gdy on w pracy swej nie uchybił żadnej proporcji, nie uronił żadnego kształtu piękna, my, idąc za nim, starać się już tylko będziemy o to, by żadnego nie uronić — słowa.

* * *

„Różowo ukarmionemu" ks. Wiklińskiemu dobrze się dzieje. Nie zna trosk poważnych, a ma mieszkanie wesołe i wygodne, w ładnej okolicy, ma stół smaczny. Lubi piękne konie — do kasztanki dobrać nie może pary, taka rysista! Dba o zewnętrzną okazałość.

Wie on wprawdzie, że ksiądz „na śmierć powinien być zawsze gotów", ale „ma przed sobą tyle jeszcze projektów duchownych i świeckich!"

Sąsiedztwo ks. Wiklińskiego miłe jest i o dobrobyt proboszcza dbałe. A proboszcz nie gardzi ani kieliszkiem, ani kompanją wesołą, sam „wesoły współobywatel w sutannie". Gospodyni,—Marcinowa, a w gospodarstwie biegła.

Kocha ksiądz życie, i rad go używa

Utrapieniem są mu te dwie słabości: boi się żandarmów, którzy księdza śledzą i od czasu do czasu nachodzą. Boi się burzy... Plebanja stoi na górce. Piorun łatwo ją zapalić może.

Parafja ks. Wiklińskiego — łacińska, ale przez nią prowadzi droga z okolic niegdyś unickich do Galicji.

* * *

Właśnie burza szaleje. Ksiądz ze strachu cierpi okrutnie. Odchodzi od przytomności. Pragnie się modlić i myśli skupić nie jest w stanie. Wstydzi się Marcinowej, wstydzi się samego siebie. Chowa głowę pod poduszkę, bo już blasku błyskawic i huku piorunów wytrzymać nie zdoła.

Noc głucha, wszystko pozamykane. A jednak ktoś kołacze do drzwi.

Młoda para: Hryć Lewczuk i Paraska Kucewiczówna proszą o ślub. Szli do Galicji, ale przewodnika żandarmy przed granicą ułapili.

Ksiądz zbladł. Wymawia się przyciszonym głosem:

— Ja ksiądz łaciński.

Ale Hryć Lewczuk ma na to odpowiedź gotową.

— Wiara polska jedna jest.

— My owce Boże jesteśmy!

Im też grozi kara ciężka. Oni na męczeństwo gotowi. Wiary kościołowi świętemu złamać nie mogą.

Noc głucha — nikt się nie dowie.

Ksiądz pokonał strach. Przywdział komżę, wziął stułę i przystąpił do łączenia rąk młodych na życie.

A Hryciowi i Parasce „stanęła przed oczyma cerkiew ich stara, dzisiaj „przemieniona", i odnaleźli w pamięci głos dawnego unickiego księdza, dzisiaj Bóg wie, gdzie wywiezionego, i śpiewy djaków, niegdyś słyszane, buchających chórem weselnych dyszkantów, ogarniętych zadumą basów i widzieli się w swoich strojach ruskich, ojcowskich jak przystało dzieciom gospodarskim".

Biorą ślub ukradkiem! Kryją się, jak ze zbrodnią! Stoją przebrani w cudzym pokoju. Ale serca mają zahartowane w prześladowaniu i w stateczności godniejsze, niż kiedykolwiek, sakramentu!

Druga burza. Teraz przyszli z błaganiem o błogosławieństwo Harasim Lewczuk i Natalka Konieczna.

Proboszcz łaciński jeszcze próbował się bronić, ale już słabo.

Żyje teraz w ciężkim strachu. Na widok przychodzących żandarmów myśli: koniec!

Ale jednocześnie w sercu jego wykwitł jakiś promyk siły, dotychczas mu nieznanej — czuje w sobie posłannictwo. Rozumie, iż stoi na posterunku. I nie zejdzie — zginie!

Ks. Wikliński z wielką prostotą określił stan rzeczy:

— Raz kozie śmierć, raz proboszczowi męczeństwo.

Posprzedawał wszystko, co mu było uciecha i czeka, rychło li wezmą go na Sybir Gotów jest!

W każdą chmurną noc zjawia się nowa para W ciągu lata powtórzyło się to osiemnaście razy

Osiemnaście razy błogosławił na życie uczciwe i utwierdzał lud w nadziei, że Bóg go nie zupełnie opuścił.

Ks. Wikliński gotów jest! Żegna ludzi, i ziemię ukochaną, ale z największym rozczuleniem myśli o tych, którzy mogli stać się wprawdzie przyczyną więzienia i wygnania, jak byli źródłem niepokoju i smutnych przeczuć, ale stali się zarazem dla proboszcza ściślejszym kółkiem wiernych, połączonem przez groźną tajemnicę, gminą wybraną, znaczoną krwawym krzyżem na męczeństwo"

Minęła zima, przyszła wiosna. Teraz zaczęto proboszczowi łacińskiemu podrzucać dzieci... do chrztu.

Wreszcie zahuczała pierwsza burza letnia. Ks. Wikliński był właśnie na imieninach u sąsiada, w miłem, kochanem i kochającym towarzystwie. Takiego kapłona, jak tu dali, jadł tylko raz kiedyś w życiu w Warszawie. Wina nadzwyczajne! I wint ulubiony.

Ale gdy się piorun odezwał, księdzem zatrząsł... strach.

Na mgnienie jedno. Bo w tej chwili myśl stłumiła to uczucie fizyczne i opanowała proboszcza — całego: tam pewnie dziś przyjdą!

Położył rozdane karty i oświadczył:

— Przepraszam najmocniej... muszę jechać natychmiast.

Nie pomogły perswazje i prośby:

— Muszę!

I zdąża do plebanji oślepiony błyskawicami, ogłuszony hukiem piorunów w dreszczach i mękach.

„On wie, kogo burza tam przynosi. Nawet gdyby nikt się dzisiaj nie zjawił, on będzie w pogotowiu, na swym wysokim posterunku przemytnika dusz — pod piorunami".

(D. n.) *Jan Tarczewski.*

Socjologiczno-polityczne poglądy Hugona Kołłątaja.

2) (Dokończenie).

Obszerny dział w dziele „Porządek f. m." poświęca Kołłątaj rozpatrywaniu t. zw praw człowieka (naturalnie człowieka, żyjącego w społeczeństwie) a zatym własności, wolności i równości. Z każdego z tych praw wynikać mają obowiązki, na prawach tych opiera się prawo polityczne, określające społeczne obowiązki i prawa człowieka, prawo cywilne i kryminalne, a wreszcie i prawo narodów, ponieważ różne społeczności mają względem siebie obowiązki.

W szerzeniu pojęć o należytościach i powinnościach moralnych największy nacisk kładzie K. na znaczenie nałogów i przyzwyczajeń, które kształtują charakter i postępowanie człowieka, a najłatwiej w młodości mogą być przyswojone. Człowiek bowiem jest „z przyrodzenia do dobrego skłonny i tak własnymi potrzebami naglony, że byle tylko szedł za ich uczuciem, byleby starał się zaspokoić one środkami, jakie mu przyrodzenie wskazuje, byleby używał do tego swych należytości i dopełniał ściśle nieoddzielne od nich powinności, nie może być złym".

To przeświadczenie pobudza z jednej strony K. do wypracowania nauki moralnej [1]), z drugiej jest ono pobudką, która pracą nad wychowaniem narodowym zająć się kazała. Nie co innego jak zaszczepienie przyzwyczajeń i nałogów, zbawiennych dla społecznego i politycznego bytu, miał na celu zaprowadzony przez Kołłątaja system szkolnictwa, jednolity dla wszystkich warstw i stanów.

Prawa fizyczno-moralne, jako celowe postulaty dla człowieka żyjącego w społeczeństwie, stanowią podstawy konstytucji, wynikających z umowy między ludźmi wyraźnej lub dorozumiewanej. „Konstytucja należy do rodzaju zobopólnych umów ...wypływa prosto i wyraźnie z porządku fizyczno-moralnego, czyli z owych ustaw wiecznych, nieodmiennych i koniecznych przyrodzenia, które przywiązawszy ludzi do życia społecznego... nadało każdemu prawa i obowiązki do wzajemnej pomocy i obrony, do zabezpieczenia własności osobistej i nabytej, do wydoskonalenia sił umysłowych i organicznych, do używania owoców własnego przemysłu i pracy, a to w zupełnej zgodzie i spokojności".

Przyrodzonych warunków umowa społeczna naruszyć ani przestąpić nie może, „zemściłaby się, jako krzywda drugiego i własne cierpienie,"

„Miłość była pierwszym zachęceniem do życia społecznego," a pierwszymi zrzeszeniami były „społeczności" małżeńskie, rodzicielskie i rodzinne. Skoro zaś przyszło do urządzania narodu, miłość sama nie wystarczała, trzeba przeto było umowy społecznej.

Konstytucja prawnie zawarować musi ludziom prawa przyrodzone, upewnić ich powszechnie dobro i objąć umową wszystkich t. j. wszystkie stany, ponieważ prawa przyrodzone odnoszą się do wszystkich. Umowa społeczna wynikła, jako konieczność przeciw gwałceniu praw i niewykonywaniu obowiązków, a zawartą być może tylko między ludźmi wolnymi i równymi i nie naruszać ich wolności, a tylko znaglać do wykonania „aby każdy ocalił swe prawa."

Ojcowie pojedyńczych rodzin zawierali umowę społeczną i dla tego nie można przypuścić, aby pierwszą formą konstytucji było gminowładztwo, ale raczej być nią musiały rządy jednego t. j monarchy, bo taką formę wskazywało dawniejsze przyzwyczajenie.

Monarchję uznaje też Kołłątaj za jedyną dobrą formę rządu konstytucyjnego, „który dogodzić ma jednakowo wszystkim potrzebom, ubezpieczyć wszystkie obowiązki prawne," gdyż dobra forma rządu jest tylko jedna, złych zaś tyle, ile odchyleń od prostej drogi.

Demokracja wydaje się K. graniczyć z anarchją, teokracja zaś zaczęła się nie przez pomyłkę uwiedzionego rozumu, ale „przez obłudę jakiej śmiałej, a razem przewrotnej głowy."

Konstytycja zjawić się może dopiero w społeczeństwie, opartym na własności gruntowej, gdzie najsilniej występuje związek grup społecznych.

„Ich (społeczności gruntowych) wielorakie potrzeby, ich związek z innymi klasami ludzi, nie posiadających takowej własności, odkrywa nam dopiero cały układ konstytucyjny, cz owego porządku moralno-polityczno-prawnego, pod którym wszyscy zastosować muszą jeżeli nie chcą być narażeni na cierpienia i nędze."

Monarchja konstytucyjna postawiona przez K. na czele żądań politycznych i stanowiąca treść konstytucji 3-ego maja jest przeto pojęciem, które wynika z systemu Kołłątajowskiej socjologji.

Tak samo naukowo umotywowanym jest zawiadywanie sprawami publicznemi przez klasę właścicieli ziemi i reforma miast, które są tym właścicielom potrzebne. Z poglądów teoretycznych wynika żądanie równości wobec prawa cywilnego i karnego, oraz wolności osobistej dla włościan.

Trudno orzec, czy system teoretyczny powstał ku uzasadnieniu reform politycznych, czy stało się odwrotnie, może sam Kołłątaj kwestji tej rozstrzygnąć by nie potrafił. Nie o to jednak chodzi. ale o tę wspaniałą konstrukcję myślową, która pracom Kołłątaja nadaje tak jednolitą postać. Opromieńmy ją jeszcze uczuciem i myślą obywatelską, która towarzyszyła mu w każdem wystąpieniu publicznem, która przegląda z każdej karty pism jego, a nawet listów, a zmaleją i zginą w pomroce potwarze, oszczerstwa i podejrzenia które za życia i dziś jeszcze nawet przedstawić go usiłują jako nieprzebierającego w środkach genjalnego karjerowicza.

Dr. Z. Daszyńska-Golińska.

[1]) Akademja jagiellońska używała Kołłątaja „Porządku fizyczno-moralnego", jako podręcznika prawa [illegible]

Polskie życie społeczno-ekonomiczne nad Bałtykiem.

2)

(Ciąg dalszy)

W niektórych wsiach Borów Tucholskich (wielki obszar lasów — własność rządowa) ludność trudni się obieżysastwem tak dalece, iż latem wyludniają się one zupełnie ze zdrowych mężczyzn. To wychodztwo obok wielu stron ujemnych, ma tę wielcę dodatnią, iż wpływa na wzrost zamożności wśród najuboższych warst polskiego ludu wiejskiego i umożliwia mu nabycie kawałka roli, powiększając tym samym obszar dóbr narodowych.

Ażeby polski kapitał oszczędnościowy nie utonął w bankach niemieckich i w celu ułatwienia kredytu polskiej drobnej własności, powstają w Prusiech Królewskich, tak jak i wszędy w zaborze pruskim, polskie spółki i banki parcelacyjne czyli ludowe; o których u nas w „sercu" Polski zaczyna dopiero coś niecoś w głowach świtać. A jak ogromnie prześcignęli naszą liczną i „czynną" inteligiencję chłopi zachodniopruscy, idący pod hasłem *Zarania* — „sami sobie" — o tym przekonają nas liczby, zaiste imponujące.

Prawie wszystkie tutejsze polskie banki (za wyjątkiem paru prywatnych) należą do „Związku Społek Zarobkowych i Gospodarczych".

Weźmy do ręki ostatnie sprawozdanie związkowe podające liczby z r. 1910 ego.

Oto w r. 1910 w Prusach Królewskich było 74 banków i spółek ludowych. Pierwszą spółkę kredytową założono w Skórczu w r. 1866-ym, następnie wyrastają, jako grzyby po deszczu, banki w Tucholi, Brusach, Czersku, Pelplinie i t. d.

Z 12 zaś istniejących banków na Kaszubach — 10 założono już w bieżącym stuleciu.

Do największych banków naszych leżących po lewej stronie Wisły (to jest na rzeczywistym Pomorzu polskim) należą następujące spółki udziałowe: w Pelplinie obracająca kapitałem 2,592,006 mr. (1 stycznia r. 1910), zaś 31 grudnia tegoż roku — 2,924,313-oma mr., w Brusach z 2,472,641 mr. gotowizny obrotowej, potym Starogrodzie z 2,100,666 mr. obrotowych, a po nich następują banki w Tucholi, Śliwicach, Czersku i Łęgu liczące od 1,200,000 — 2,000,000 mr. kap. obr. Dalej bardzo ciekawie przedstawia się tabela porównawcza banków, ich członków i gotowizny w Prusiech Królewskich i Wielkopolsce, naturalnie ta ostatnia bije swym rozwojem ekonomicznym pozostałe dzielnice pruskiego zaboru, więc i Pomorze polskie:

	[illegible]	[illegible]	[illegible]
Spółki kredytow.	11	[illegible]	[illegible]
Liczba członków	[illegible]	22,751	72,658
Udziały w mr.	99,696	2,077,175	16,830,440
Wkłady w mr.	3,673,276	34,489,943	128,714,137
Gotowizna obrot.	[illegible]	[illegible]	[illegible]

Liczby te tyczą się stycznia r. 1910-ego.

A unaocznia nam ten wykres porównawczy dokładnie, iż oszczędności rosną w miarę zamożności, a ta wynika z jakości gleby, bo chłop jest opoką na której oparła się silnie polska organizacja kredytowa.

Oto na chudych piaskach i wydmusach kaszubskich na 1 Polaka przypada 28,20 mr. oszczędności złożonych bankowi, na dobrej ziemi toruńskiej czy lubawskiej wynosi ten wkład na głowę już 75,10 mr., a na świetnej glebie Kujaw poznańskich dochodzi wielkiej sumy — 105,80 mr.

A na dowód jak szybko wzrastają te zrzeszenia kredytowe nadmienię, iż w chwili bieżącej ogółem Prusy Zachodnie liczą 34,600 członków spółek zarobkowych i gospodarczych, z tego w 14 spółkach na Kaszubach grupuje się 5,883 członków, a 28,777 osób w 60 zrzeszeniach w pozostałej części Prus Królewskich.

W tej dzielnicy widzimy również zdumiewające wyniki pracy handlowej naszych rodaków.

Handel kwitnął tu dawniej, lecz tak jak wszędzie w Polsce bez udziału naszego, a był jakby jedynowładztwem — Żydów i częściowo Niemców.

Musieli tu jednak z czasem i nasi rodacy pod wpływem rozlicznych okoliczności przełamać tę swą ku handlowi niechęć.

Skoro tylko liczne gromady młodzi polskiej, z braku ognisk przemysłowych dających wiejskiemu czynnikowi szerokie pole pracy, jak również pod naporem niemieckich przybyszów rolnych, musiały się imać stosunkowo najdostępniejszej dziedziny zarobkowania a jest nią rzemiosło i handel — następuje w Prusiech Z. ze wszechmiar korzystny dla gospodarki narodowej nawrót.

Pod wpływem przemożnego hasła, powstałego na tym rozpalonym gruncie, a mającego wyraz w dwóch jeno słowach — „swój do swego" — rozwija się młodziutkie polskie kupiectwo. Ono — będąc niedawno jeszcze w pieleszach, gdy zasiedziały tu współzawodnik niemiecki czy żydowski (te dwa żywioły są tu, niestety, jednako „polakożercze") stał się poważnym przeciwnikiem, musiało się chwycić jakiejś niezawodnej „deski ratunku". — Była nią — współdzielczość.

Tę ważną rolę dźwigni, polskiego życia ekonomicznego, odgrywają stowarzyszenia powstałe, głównie dla handlu towarem łokciowym, pod nazwą „Kupców".

Nasz handel rośnie, wzmaga się liczbowo; nabiera rozprężności, doświadczenia i tężyzny.

Jur Kamieński.

BADANIA NAUKOWE.

Korespondencja św. Ignacego Loyoli.

3) (Dokończenie).

Jak już zaznaczyłem, główną propagowaną przez św. Ignacego cnotą jest posłuszeństwo. To podstawa całej jego etyki, cnota najprzedniejsza i jedyny temat etyczny, któremu poświęca listy obszerne. Innymi cnotami nie zajmuje się.

Jak świadczy Polanco, sekretarz św. Ignacego, święty ten zwykł był mawiać, że człowiek cnotliwy winien być „jako kij w ręku przełożonego swego"; powinien bić tego, kogo przełożony nim uderzyć chce i bronić tego, kogo przełożony nim obronić uznał za stosowne[1]). Obowiązkiem naszym jest nietylko wiernie wykonywać rozkazy przełożonych, lecz wszelkimi siłami starać się tak myśleć, jak oni chcą abyśmy myśleli, i tak *czuć*, jak oni chcą, abyśmy czuli[2]). A posłuszeństwo także winniśmy nietylko władzom kościelnym, lecz także władzom świeckim, choćby nawet pogańskim czy heretyckim (zgodnie z nauką św. Pawła w liście do Efezów) bo każda *dobrze zorganizowana* władza wprost od Jezusa Chrystusa pochodzi.

Podkreślam, że św. Ignacy niema tu na myśli jakiej władzy „sprawiedliwej", według tak czy inaczej pojętej sprawiedliwości, jeno poprostu wła-

[1]) [illegible] Paris 1870. p. 367.

[2]) Mon. Ign. Ep. 3304.

dzę „dobrze zorganizowaną“[8]). Jest to wyrażenie bardzo charakterystyczne dla św. Ignacego, który jakem już powiedział — wszystkie swoje wysiłki skierowuje do zwalczania w człowieku niezależnego poczucia sprawiedliwości, sumienia, poczucia etycznego. Na miejsce wszystkich cnót staje posłuszeństwo, jako jedyna cnota, zapewniająca, że poddany tam pójdzie, dokąd go jakaś „dobrze zorganizowana“ władza zaprowadzić zechce.

Cała filozofja św. Ignacego opiera się na posłuszeństwie. Jest to bodaj najdoskonalsza filozofja absolutyzmu, jaką kiedykolwiek ludzkość wydała. Św. Ignacy widzi hierarchiczne i absolutne rządy w kosmicznym świecie gwiazd, w otaczającej nas przyrodzie, w niebiosach, gdzie Bóg absolutnie panuje nad hierarchicznie uporządkowanymi chórami aniołów, i wreszcie na ziemi, gdzie Kościół katolicki doskonale zapanować powinien.

Taki światopogląd, oparty na cnocie bezwzględnego posłuszeństwa, św. Ignacy kładzie za podstawę kolegjom jezuickim i każe wychowywać ludzi na doskonałe kije w ręku ich przełożonych.

Cóż dziwnego, że monarchowie i rządy najbezwzględniejsze tak chętnie wprowadzały kolegja jezuickie u siebie? Wychować sobie pokolenia całe poddanych wiernych, jak tylko kij wiernym być może, czyż to nie szczyt marzeń?

Na szczęście jednak dla wolności i dostojeństwa ludzkiego te dwie władze, świecka i kościelna, zawsze oszukiwały się nawzajem.

Jeśli dążeniem rewolucyjnym wogóle nazwiemy wysiłek zmierzający do zwalczenia jakąbądź drogą panujących potworności społecznych, to św. Ignacego uznać musimy za antytezę wszelkiej rewolucyjności. I takie postaci, jak Sawonarola, Mickiewicz, Tołstoj, biegunowo są mu przeciwstawne. Św. Ignacy jeśli chce co zmienić w panującym za jego czasów, a i dzisiaj także, układzie społecznym, to tylko jeszcze bardziej zaakceptować, uwydatnić i udoskonalić hierarchiczną budowę społeczeństwa.

Wychodząc z założenia, że prawda ostateczna jest w posiadaniu Kościoła, z nieubłaganą logiką i konsekwencją wymaga od ludzi jednej jedynej cnoty — ślepego posłuszeństwa. Posłuszeństwo jest dla niego wewnętrzną, ideową więzią społeczną. Miłość, sympatja między-ludzka, spólność idealnych dążeń — to uczucia, w prawdziwość których nie wierzy, a tym samym nie na nich buduje, nie uznaje ich za poważne czynniki społeczne.

Życie i pisma św. Ignacego to wcielenie, żywy wyraz, całego systematu filozoficznego. Ten człowiek nie pisał rozpraw przy biurku, jeno każdym dniem życia swego, każdym listem swoim wypowiadał coś z tej mocnej koncepcji, która nim władała. Mamy dzisiaj do rozporządzenia olbrzymią jego korespondencję, ale do narysowania tej postaci to bodaj zbędne: dość jest wziąć którybądź z ważniejszych listów tego człowieka, a cały jego światopogląd stanie nam przed oczami z tych mocnych, wyrazistych powiedzeń, jak z jednej kości zaginionego zwierzęcia, całe zwierzę odrysować można. Jak w budowie zwierzęcia jest pewna wewnętrzna organiczna cecha podobnie w żywym systemacie filozoficznym tkwi pewna organiczna prawda, która przejawia się we wszystkich powiedzeniach, we wszystkich czynach danego człowieka.

Jaźnie rozproszone, połamane, jaźnie dekadenckich nastrojowców nie dają nigdy całości, choćbyśmy przestudjowali je do najdrobniejszych szczegółów codziennego życia; zawsze znajdziemy w nich tylko chaos i bezład. I przeciwnie — jaźnie zogniskowane przejawiają się jak orbita planety: z najdrobniejszego wycinku linji wykreślić ją można.

Święty Loyola był klasycznym przykładem jaźni zogniskowanej. Był to przytym wspaniały wyraz pewnego typu ludzkiego. A że typ ten uznać możemy i powinniśmy za naszego wroga, że zwalczać go powinniśmy z równą energją, jak św. Ignacy zwalczał typ wolnego człowieka — to inna sprawa.

Jan Hempel.

[8]) W org. hiszp.: „ordenada potestad“; w przekł. franc.: „puisance bien réglée“.

KRYTYKA.

Zygmunt Krasiński.

XI.

Kiedy Krasiński dotknie się grobów—powstaje w nim wielki poeta, brzemienny żarem i rozpaczą. Kiedy dotknie dni dzisiejszych, staje się natchnionym oskarżycielem. Jak prorok widzi niebezpieczeństwo dla ducha ludzkiego, płynące z militaryzmu, kramarstwa, materjalizmu, drobiazgowego podziału pracy. Cóż się stanie z ludźmi „o czołach wyżłobionych, z osłupiałym wzrokiem“, którzy lata całe polerują tylko główkę od szpilki? Choć rozum mówi, że powrót do czasów dawnych zamknięty, serce Krasińskiego wydziera się do przeszłości, idealizuje ją, widzi w niej zburzone szczęście i harmonję wszystkich stanów. Kupcom, którzy dziś „na tronach wśród tej nocy błyszczą“, kiedy świat jest „jak Giełda jedna ciemna—a oni jak króle świata“, powie o dawnem kupiectwie:

„Szkarłatem i wszelakim kamieniem drogim handlowali po jarmarkach miast — ale miecz tkwił, różaniec wisiał im u boku — ich ręka na wzburzonych falach umiała rudlować, na lądzie sypać niezdobyte szańce. Srebro brali, a brud srebra zmywali krwią bitew“...

A robotnikom powie:

„Nie wierzcie fałszerzom — wyście sługi, ale ojce ojców waszych byli wolnymi w prostocie serc swoich! Wiara w Boga tarczą im była od ucisku ludzi. Świeżość wiosny rozkwitała w ich duszach — w chacie równin, czy w zamku na szczycie skał oni byli sobą — kochali kochając lub walczyli walcząc. Dziś jak świat wielki tak miłości niema, i jak świat wielki tak i walki niemasz“...

A wszystko, co mówi, wyrywa z takich mrocznych głębin uczucia, że nie słuszność, lecz prawo do wszystkiego zniewala sobie:

„O Narody, o! wy, światła na ziemi, gaśniecie, gaśniecie! Ze zwłok waszych marne zlepiają się mocarstwa, trupy ruszane siłą galwaniczną Rządów“...

A urywa swój poemat, jak król, oddalający skinieniem krociowe rzesze:

„Narody i ludzie—rozejdźcie się w milczeniu i ciemnościach"...

XII.

Nie zawsze dopisywało mu natchnienie. Często obrazy bledną, tok wiersza traci rozpęd, język martwieje, rym staje się pospolity. W młodym wieku pisze na gwałt z zagranicy do kraju, aby mu przysłano pisarzów okresu Zygmuntowskiego, a przedewszystkim — Skargę, bo czuje, że na obczyźnie zapomina języka. Wychowany na francuszczyźnie, nie jest wolny od błędów: Napisze: cierpiem(y), ze wzgórzów, o rozkoszo moja, twórczejszy. Tworzy neologizmy niezbyt szczęśliwe: zosobniać się, wsumienić się, przedmyśliwać, silnieć i cały szereg innych tego rodzaju: wyanielić, przebóstwić, przewcielić, zdarzenny...

XIII.

Cierpienia fizyczne towarzyszą mu od wczesnej młodości. W 18 roku życia już ma reumatyzm, oczy palą go nieznośnie. Zagraża mu ślepota. Całe miesiące nie może czytać ani pisać i musi siedzieć w ciemnym pokoju. Nawiedzają go straszliwe newralgiczne bóle głowy. W 25 roku życia ma już siwe włosy. Częste wymioty. Nie może ani sypiać, ani wyleżeć, ani chodzić długo. Trapi go bezwładność, ponura nuda i apatja. Czuje wstręt do światła, krzeseł, ludzi. Koło skroni płyną mu wielkie plamy: czerwone, zielone, żółte. Zjawienie się nowej osoby z kraju, którego z miłych znajomych lub uroczych pań — jest dla poety jakby bodźcem. Prostuje się, świetnieje i ożywia. Lecz podniecenie trwa krótko. Znów drętwieje i przygasa. Leczony nieustannie forsowną metodą hydropatyczną — doprowadzany do rzęsistych potów, a potym pogrążany w lodowatą wodę — czuje się Krasiński coraz gorzej i gorzej, a umiera w 47 roku życia niemal jako starzec zgrzybiały.

Do tego dodać trzeba ciągłe uporczywe urojenia: że umrze na cholerę, że pani Bobrowa umrze, że robotnicy rzucą się na pracodawców i rozpoczną rzeź europejską, że zostanie zesłany na Sybir..

W takich warunkach żył i tworzył Zygmunt Krasiński..

Leon Choromański.

Z PRASY.

Z prasy polskiej.

⁂ *Po wyroku.* Kiedy macochową sofę z trupem topiono w rowie przydrożnym, dorożkarz Pianko dygotał ze zgrozy na tak niespodziewany widok. Lecz biały paulin z krzyżem stanął przy nim i rozkazał: Przysięgnij! Przysięgnij, że słowa nikomu nie piśniesz, inaczej sprawię, że ręką Boską będziesz pokarany!

I prostak, wdrożony do bezwzględnego posłuchu dla namiestników Boga na ziemi—poprzysiągł. Uczynił się pośrednim wspólnikiem strasznej zbrodni.

Widzimy więc, że kler korzysta z tak rozległych przywilejów, z tak niezwykłych w tej mierze prerogatyw, o jakich nie śmie marzyć żaden świecki przestępca.

Różne drzwi stoją mu otworem. Giętka etyka kościelna przychyla się doń popaźliwie. Wszakże wyszło na jaw, że Macoch przyznał się do zbrodni jednemu ze starszych zakonników i uzyskał od niego rozgrzeszenie. Dusza ofiary—powiedziano—poszła do nieba, a ciału wszystko jedno, gdzie spoczywa; niech więc leży w sofie; świat może o tym nie wiedzieć...

Takimi rozporządzał Macoch środkami. Przysięgą wymusił milczenie, spowiedzią uzyskał rozgrzeszenie. W Kościele był bezpieczny. I dalej słodki pędził by żywot na Jasnej Górze, gdyby nie sprawiedliwość świecka.

A dziennik o. Starczewskiego? Niezwykle klasyczne to dzieło powinno przejść do potomności. Niech wiedzą przyszłe pokolenia, jaki był tryb życia na Jasnej Górze. Sumienną dłonią wypisał o. Starczewski wszystkie grzechy śmiertelne, jakim oddawać się mógł swobodnie w murach klasztoru, nie mącąc ani na chwilę ich pogody.

I o tym w kołach kościelnych wiedziano. Więc też wyrok piotrkowski spadł na nie ciężkim brzemieniem hańby.

Pewna część prasy już biegnie z usłużną odsieczą, a nie mogąc prostą drogą, ima się forteli.

⁂ *Obrona Częstochowy.* Było do przewidzenia, że z oficyn endecji rozlegnie się hasło nietrudnej dywersji. *Głos Warszawski*, który nigdy w środkach nie przebierał, tym razem na taki wpadł koncept:

> Macoch, Olesiński, Starczewski są ludźmi pochodzenia polskiego i byli zakonnikami w polskim, katolickim klasztorze. Czy są oni jednak wytworem polskiej kultury i etyki? czy przedstawiają oni ten żywioł, z którego naród bierze naogół swe duchowieństwo i któremu swe świętości powierza?...

Nie! — woła *Głos Warszawski* rezolutnie—Macoch i jego towarzysze nie należą do polskiej warstwy oświeconej, ani do polskiego ludu. Do pierwszej nigdy nie weszli, z drugiej wyszli bezpowrotnie. Należą oni do kategorji ludzi, których drogi życia są odcięte od wpływów kulturalnych i w szczególności etycznych społeczeństwa polskiego.

> Ta klasa ludzi — to funkcjonarjusze policyjni pochodzenia polskiego, pisarze gminni, w części zwłaszcza do niedawna nauczyciele ludowi i t. p.

Widać na pierwszy rzut oka, że w litanji stawionych tu pod pręgierz zawodów *Głos Warszawski* pominął bardzo dyplomatycznie tę właśnie sferę „funkcjonarjuszy państwowych" do której odnoszą się wszystkie przesłanki potępienia — a mianowicie kler. Wszak tam, na Jasnej Górze nie stójkowi, pisarze gminni i nauczyciele ludowi swawolili — tylko księża zakonni. I do nich stosuje się miano „hybrydów kulturalno-etycznych" i dosadna charakterystyka, którą *Głos Warszawski* rozmyślnie w inną kieruje stronę. Bo czymże są księża ogółem wziąwszy, w obecnych naszych warunkach? Skąd pochodzą? Jak się wychowali? Czego pragną?

> Ci ludzie przestali żyć kulturą i etyką ludową, bo ponad nią wyrośli, czy poza nią wyszli, nie

przejmują się zaś pojęciami i poglądami oświeconych czy półoświeconych żywiołów polskich, bo od nich są niezależni, do nich nie doszli. Przy swoim tedy pochodzeniu polskim nie są oni kulturalnie i etycznie Polakami, ani w tym stopniu, co chłop polski, ani w tym, co inne żywioły narodu.

Ci ludzie, nie będący wytworem duchowym ani ludu polskiego, ani Polski oświeconej, nie wyprodukowani przez nasze rodzime życie społeczne, nie należą zatym do jednostek, za którym skłonności i pojęcia odpowiedzialność spada na nasze społeczeństwo, na ośrodj naszego życia, o ile on od [illegible]

Odpowiedzialność — woła organ endecki — spada na państwo. Na Jasnej Górze broili oo. paulini dlatego, że surowy rygor klasztorny rozluźniono... przepisami rządu.

Przepisy tedy rządowe zdjęły z ogółu członków zakonu odpowiedzialność za charakter moralny poszczególnych jego członków...

Łatwa i... popularna wymówka! Rad z tego manewru, rozprawia się dalej *Głos Warszawski* z b. przeorem zakonu, który cieszył się wszak bezgranicznym zaufaniem i poparciem prasy:

I tu wielka odpowiedzialność spada na nas, na nasze społeczeństwo, na kierowników naszej opinji publicznej. Bo ze strony naszej opinji publicznej przeor jasnogórski miał ogromne poparcie. Nie opuściło go ono całkowicie nawet po wykryciu dwóch strasznych zbrodni na Jasnej Górze. Tak olśnił wszystkich swymi talentami administracyjnymi i politycznymi, tak umiał sobie jednać ludzi wogóle a dziennikarzy w szczególności, że kraj rozbrzmiewał tylko hymnami pochwalnymi dla niego, jako dla człowieka opatrznościowego na swym stanowisku.

Tytułem ścisłości godzi się przypomnieć, że kiedy *Myśl Niepodległa* wytknęła w swoim czasie o. Rejmanowi niewłaściwą w klasztorze gospodarkę i publicznie żądała rachunku z kroci tysięcy, które wpłynęły do skarbca jasnogórskiego na odbudowanie wieży spalonej—wszyscy świętobliwi i światli „kierownicy" naszej „opinji" puścili przestrogę mimo uszu, zaś ośmielony ich milczącym poparciem przeor wespół z ojczykami Damazym, Bazylim, Izydorem — broił po dawnemu.

*** *Właściwe wnioski.* Nie bawiąc się w dywersje, ani w mozolne przeinaczenia faktów, *Goniec* wręcz i śmiało powiada:

Przedewszystkim stwierdzono, że poza zbrodnią Macocha, brali udział w grabieży klasztornej [illegible] Jasnej Góry na dobre. Z różnych listów skazańców widać, że byli oni skończonymi cynikami, że z gmachu cenionego przez całą Polskę, jak długa i szeroka, zrobili jaskinię, w której uprawiano lotrowstwa na wielką skalę, i to niejako pod protektoratem noszącego infułę biskupią przeora Rejmana.

A czyż tylko ci czterej plugawili w mniejszym, lub większym stopniu świątynię, czczoną przez nas wszystkich? Z półsłówek rzucanych w sądzie, zresztą z wcale nieukrywanych słów ludzi, wtajemniczonych w życie klasztorne, ba, od samych księży przyzwoitych i religijnych wiadomo, że życie sybaryckie, pijaństwo i rozpusta szersze zataczały kręgi, tak szerokie, że tych paru, czy kilku zakonników, o większej wartości moralnej nic zdziałać nie mogło. Nawet wpływy Rzymu nie sięgały tutaj. Bardziej wartościowi paulini, tyle tylko czynić mogli, że sami nie ulegali ogólnej zarazie, będąc niejako nikłą oazą na bezdusznym, wyjałowionym z uczuć ludzkich i szerszych aspiracji bagnisku klasztornym.

A „wpływy zewnętrzne"? A te przepisy rządowe, co, zdaniem *Głosu Warszawskiego*, spowodowały upadek moralny paulinów? Być może, że te wpływy istniały.

Ale one nie wystarczają do wytłumaczenia odbywanych tam praktyk. Jeżeli musi przeciwdziałać nie mogą tym wpływom, mocą swego ducha, znaczy, *że w nich go niema!* Dusze silne hartują się w walce z przeciwnościami. Duchy, mające cel w życiu, umieją dążyć do niego po przez ciernie. W zakonnikach nie było ani celu, idei, ani hartu. Ulegali, bo im było z tym wygodnie. Ulegając, demoralizowali otoczenie.

A oto wniosek — piszemy się nań w zupełności:

Lud nie jest ślepy, widzi to i zastanawia się. Spadają mu łuski z oczu i choć nie przestaje być religijnym, krzepi w sobie chęć kontroli i patrzenia na palce niegodnym kapłanom, zmaga w sobie krytycyzm, który wcześniej, czy później musi doprowadzić do szczęścia dla kraju i dla jego rozwoju, do tego, że księża będą takimi, jakimi pragnąłby ich widzieć chłop polski.

*** *Zdziłowiecki i Rejman—dwaj komparsi.* „Wróble częstochowskie śpiewały na wszystkich dachach — pisze *Myśl Niepodległa* — że Paulini fundują domy rozmaitym niewiastom, wyposażają różne „panny", odbywają z nimi kosztowne podróże po świecie, a „badania" wojującego z polską myślą myślą wolną biskupa „nic stanowczego" wykryć nie mogły!

To też istnieją całkiem dostateczne przyczyny do ***złożenia go z urzędu***, gdyż wbrew wyraźnemu brzmieniu jego pisma donosicielskiego nie tuni, ale on był ***hierarchicznym wodzem*** tych, którzy się sądownie okazali ***mistrzami niemoralności***, ba, ***zbrodni!***

Przypominamy, że Rejman, gdy skradziono korony częstochowskie, równie bezczelnie, jak biskup, w kazaniu powiedział, że mistrzowali złodziejom redaktorowie „pism bezbożnych", czyli wolnomyślnych, bo „od ich nauk do takiej zbrodni droga niedaleka". No, wolni myśliciele nie byli profesorami seminarjum, nie wyświęcali Damazych, Bazylich, Izydorów i Rejmanów. Prawdą jeszcze raz się okazało, że ten, który czelnie wołał „łapajcie złodzieja, on tam", sam widocznie uwagę chciał odwrócić od swojej kieszeni, wyładowanej „świętymi" ofiarami. Domagając się od Rejmana złożenia rachunków z budowy wieży jasnogórskiej, pisaliśmy bardzo oględnie, i mimo tej oględności pisma klerykalistyczne jęły pluć w naszą stronę. Przecież nie pisaliśmy tego, co one same TERAZ o nim piszą, że roztrwonił pieniądze klasztorne. Cóż to znaczy? Znaczy, że KRADŁ, tak, KRADŁ, KRADŁ razem z Damazym, Bazylim, Izydorem i wszystkimi, którzy, w ubóstwie wszedłszy do klasztoru, naraz budowali kochanicom domy, dawali im posagi, urządzali sobie z nimi rozkoszne przejażdżki po Europie, albo prowadzili dzienniczki wszystkich wybryków seksualnych z penitentkami miast oddawania się „świętym rozpamiętywaniom Męki Pańskiej".

Do czegóż prowadzimy?

Do tego mianowicie, że fatalny błąd obarcza tych, którzy stojąc u steru opinji publicznej, stwarzali kierowi wyidealizowany parawan nietykalności, tłumiąc wszelką krytykę, gnąc się w pałąk przed księżmi, zasłaniając sobą bandę świętobliwych oszustów, pasibrzuchów i zbrodniarzy, wzywając lud do pielgrzymek i składania ofiar u podnóża

opromienionej cudami fabryki złota, jeszcze w chwili ujawnienia zbrodni kierując adresy homagialne tam, dokąd posłać należało pozew ostry stawienia się przed sądem ogółu i pokornego zdania sprawy ze swych rządów i nierządów.

„I oto ksiądz musi być poddanym narodowi, gdy jako jego przełożony tak się zaszargał. Powtarzamy, cośmy mówili dawniej: nikt z nas wolnych myślicieli polskich, nie podniósł ręki na Jasną Górę. Ona sama w obliczu całego narodu padła w gruzy. Zarzucano nam przesadę. To fałsz. Pisaliśmy wprost blado wobec jaskrawości, które proces odsłonił i które teraz łuną złowrogą jaśnieją na łamach pism naszych przeciwników".

*** *Nowe czasopismo.* W Warszawie począł wychodzić pożyteczny i ciekawy ćwierćrocznik pod nagłówkiem: *Kwartalnik poświęcony badaniu przeszłości żydów w Polsce.* Będzie to poważny organ naukowy, uzupełniany rycinami miejsc historycznych.

Między autorami prac I-ego zeszytu widzimy nazwiska prof. Sz. Askenazego, Henryka Mościckiego, dr. Tad. Modelskiego i innych.

Ku uczczeniu 25-ej rocznicy wystąpienia KAZIMIERZA TETMAJERA na polu literackiem, podjętem zostanie drogą prenumeraty jubileuszowe wydanie **„Poezji wybranych"** z siedmiu dotychczas wyszłych tomów, z dodaniem rzeczy niewydanych, **oraz z portretem** autora; książka w formacie „in quarto" obejmować będzie 250 — 300 stron druku. Cena zasadnicza rb. 5; na papierze czerpanym rb. 10; na papierze japońskim rb. 25 (Koron 12.50—25 — 62 50; marek 10 — 20 — 50). Egzemplarze po rb. 10 i po rb. 25 numerowane z podpisem autora. Na końcu każdej książki dodana będzie lista przedpłacicieli. Abonament zamknięty zostanie z dniem 31-go Lipca r. b; wydawnictwo ukaże się w październiku b. r.

Prenumeratę przyjmują kantory pism, zamieszczających ogłoszenie.

Jesteśmi przekonani, że ogół polski, w uznaniu wysokich zasług Kazimierza Tetmajera dla literatury ojczystej, poprze gorąco nasze usiłowania. (Podpisy:)

Władysław Bukowiński, redaktor „Sfinksa", Zdzisław Dębicki, Czesław Jankowski, Józef Kotarbiński, Stefan Krzywoszewski, redaktor „Świata", Konrad Olchowicz redaktor „Kurjera Warszawskiego", Artur Oppman, (Or-Ot), Władysław Rabski, Józef Relidzyński, Józef Weyssenhoff, Józeff Wolff, redaktor „Tygodnika Illustrowanego".

KRONIKA.

WYKUPYWANIE ZIEMI POLSKIEJ. Według sprawozdania banku szlacheckiego, bank ten w r. 1910 nabył w gubernjach: wileńskiej, grodzieńskiej, kowieńskiej, wołyńskiej i podolskiej z rąk polskich 5 majątków, przestrzeni 12,818 dziesięcin za 811,530 rb.

Za czas od r. 1894 do r. 1911 bank na wykup majątków polskich wydał 250 pożyczek na sumę rubli 20,732,500.

Jak widać z liczb powyższych i stałych wzmianek dziennikarskich o sprzedawczykostwie ziemi z rąk polskich na Rusi i Litwie — zanik polskiej własności na ziemiach tych może być już bliskim... Niestety, społeczeństwo tameczne śpi!

KARY PRASOWE. Redaktor *Kur. Lubelskiego* skazany został administracyjnie na 300 rb. kary za wydrukowanie w Nr 19 tego pisma artykułu p. t. „Czyżby zapomnienie". Redakcja *Gońca Porannego i Wieczornego* skazana została na 300 rb. kary za wydrukowanie w Nr. 75 artykułu p. t. „Komu stawiać pomniki w Warszawie".

STATYSTYKA NIEMCÓW. Według obliczeń „Deutsche Monatsschrift für Russland" ogólna liczba Niemców w państwie rosyjskim wynosi 1,312,187. Z tej liczby w kraju nadbałtyckim zamieszkuje 165,727; w Królestwie Polskim zaś zamieszkuje 407,247 Niemców przeważnie napływowych kolonistów; pozostali rozrzuceni są w różnych dzielnicach państwa.

KSIĄŻNICA JAGIELLOŃSKA liczyła w końcu r. 1911-go 415,613 tomów druków, 6,927 rękopisów, 3236 map, 9861 sztychów i t. d. Książnica ta nie może, niestety, rozwijać się tak, jak życzyć należy, a to wskutek niedostatecznej dotacji rocznej, która wynosi zaledwo 8,090 rb. (20,000 koron).

NOWE PISMA POLSKIE NA OBCZYŹNIE. W Lipsku powstał jakoby oddział *Wiarusa Polskiego* posła Brejskiego w postaci *Gazety Lipskiej.* Prócz tego w Nadrenji w Heene będzie wychodziła pod redakcją p. Wojciechowskiego — *Gazeta Narodowa.* W Wiedniu zaś powstał miesięcznik popularno-oświatowy — *Bibljoteka Polska.*

Książki nadesłane od Redakcji:

Antoni Szandlerowski: „P o e z j e". Warszawa, 1912. Skład główny w księgarni Gebethnera i Wolffa. Str. 116. Cena rb. 1 kop. 60.

Antoni Szandlerowski: „C o n f i t e o r". Warszawa, 1912. Skład główny w księgarni Gebethnera i Wolffa. Str. 234. Cena rb. 2.

St. Staniszewski: „B e z e c h a". Zbiór wierszy. Suwałki 1911. Str. 172. Cena rb. 1 kop. 40.

Remigjusz Kwiatkowski: „P o e z j a i p r z y r o d a w J a p o n j i". Warszawa, 1911. Odbitka z „Bibljoteki Warszawskiej". Skład główny w księgarni Gebethnera i Wolffa. Str. 18. Cena kop. 40.

Dr. Fr. W. Foerster: „W y c h o w a n i e c z ł o w i e k a". Książka dla rodziców, nauczycieli i kapłanów. Zeszyt IV. Warszawa, 1912. Nakład Gebethnera i Wolffa. Str. 241 — 320. Cena kop. 40.

Andrzej Marek: „N o e m i". Dramat w trzech aktach. 1912. Warszawa. Gebethner i Wolff. Str. 90. Cena rb. 1.

Marja Rodziewiczówna: „D e w a j t i s". Powieść współczesna. Wydanie jubileuszowe popularne z portretem i życiorysem autorki pióra J. Wernkówny i przypisami. Warszawa. Str. 220. Wydawnictwo Towarzystwa Zjednoczonych Ziemianek. Nakład Gebethnera i Wolffa. Cena kop. 50.

Henryk Sienkiewicz: „P i s m a" tom XXXV. („Dwie Łąki" i inne nowele). Warszawa. Nakład Gebethnera i Wolffa. Str. 244. Cena rb. 1.

Michał Sobeski: „I n t e r l u d j a". Książnica naukowa i artystyczna. Rozprawy z pogranicza sztuki i filozofji. Kraków—Warsz. Gebethner i Sp. 1912. Str. 220.

Tadeusz Chrząszcz: „G o r z e l n i c t w o". Tom I. Część ogólna. Warszawa, 1912. Nakład Gebethnera i Wolffa. Str. 300.

O. S. Marden: „S i ł a d u c h a i s p o k ó j ż y c i a". Nakładem M. Arcta w Warszawie. Str. 235.

Szymon Tokarzewski: „Z r o k u 1 8 6 3 i l a t n a s t ę p n y c h". Nakład Bilińskiego i Maślankiewicza.

Prenumerata „Prawdy"

wraz z bezpłatnym dodatk:

W Warszawie: miesięcz. kop. [illegible]

Z przesyłką poczt. do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie **rb. 2 kop. 50** rocznie **rb. 10**

Za zmianę adresu dopłaca się [illegible] kop.

Sekretarz redakcji przyjmuje interesantów codziennie, oprócz niedziel i świąt od 12—2 pp.

[illegible] dakcji [illegible]

[illegible]

[illegible] nieopłaconych lub [illegible] nie opłaconych nie przyjmuje się.

Ogłoszenia wszelkiej treści po kop 20 za wiersz garmontowy jednoszpaltowy lub jego miejsce (strona ogłoszeniowa zawiera 4 szpalty).

[illegible]

[illegible]

Administracja otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt, od godz. 10 do 5 pp.

Kierownik literacki: **Wincenty Rzymowski.** Redaktor: **Aleksander John.**

Sekretarz Redakcji: **Leon Gorecki.** Wydawca: **Józef Jabłoński.**

Druk. L. Bogusławskiego, Warszawa, S-to Krzyska 11.